

OGNISKO DOMOWE

Gazeta dla kobiet.

Bezpłatny dodatek — wychodzi co tydzień.

Rok 2

CHOJNICE, dnia 29-go marca 1925 r.

Nr. 11

Ostatnie rozgrzeszenie.

Ten, który tam jęczy w głębi sali został wprawdzie ochrzczony, ale w wędrówce życia zapomniał o tem, że ma duszę i że poza tym światem jest sędzia ludzkich czynów. Wczoraj jeszcze bluźnił i drwił z wiary. Dzisiaj myśli już o życiu przyszłym i krew jego, przelana za wielką sprawę, uczyniła go po raz wtóry dzieckiem Bożem w obliczu Ojczyzny, która walczy.

— Siostrze, chciałbym księdza!

Księdza! Zakonnica spogląda na nieszczęśliwego polykając łzy. Niewypowiedziane cierpienia, którym niosła pomoc, nie ugięły jej dzielnego serca. Ale teraz ogarnia ją szalona trwoga wobec tej znękaniej duszy.

Księdza! Wszyscy są na froncie, księża kapelani i żołnierze, wszyscy oddani pracy, która wymaga ich nieskończonego poświęcenia. Tego wieczora nadejść może nawet niedługo, gdyż za zezwoleniem Bożem są wszędzie w tej wojnie. Nadejść... ale kiedy? A ten młody żołnierz, tak jak tylu innych z pośród trzydziestu rannych leżących w wielkiej sali, może umrzeć, zanim powróci.

Siostra pochyla się nad umierającym, powiada mu o skrzeszeniu i żalu za grzechy, nie może stłumić żalu i płacze na głos:

— O Boże! Że też niema księdza dla tych biednych umierających dzieci!

Sąsiad słyszy jego skargi i przywołuje ją:

— Siostrze... tam... w głębi sali... jest ksiądz.

— Ksiądz? Jest tutaj ksiądz?

— Jest, ale chory... taki chory... obie nogi zmiądzone, a przytem ranny w piersi i w ramię; padliśmy równocześnie, obok siebie, prawie dotykając się. To on mi dał rozgrzeszenie..

I jednym palcem, który pozostał u ręki, wskazuje w głąb sali, gdzie leży ksiądz.

Zakonnica biegnie do rannego, który nie widzi jej. Przed łóżkiem zatrzymuje się z wołaniem i szepce:

— O mój Boże! to ten!

Opadają jej ramiona, a ten gest mówi o wielkiem rozczarowaniu:

— To ten!

Nadzieja rozwiewa się. Biedny młody proboszcz! Leży w omdleniu od rana, od chwili przybycia. Niepodobna obudzić życia w tem ciele o twarzy trupa. Nie umarł jeszcze, ale tak bliski zgonu! Przed chwilą lekarz badał go w czasie swej krótkiej wizyty i wskazując na kałużę krwi, w której był skąpany, rzekł:

— Tu już nic nie poradzę, wszystko skończone.

I te posępne słowa brzmią jeszcze w uszach siostry. Ostatnia nadzieja znika. Wszystko skończone! A tamten czeka pomocy i nie otrzyma jej!

Wtedy siostra, apanowawszy przerażenie, ufna w to, co niemożliwe, a co niekiedy urzeczywistnia się, za sprawą Bożą pochyla się tuż nad głową o zamartwych i rysach:

— Proszę księdza.. Proszę księdza...

Jakiej nadprzyrodzonej mocy używa Bóg w pewnych chwilach wierze! Oczy umierającego otwierają się. Zakonnica, zebrawszy całą odwagę, znajduje się, aby powtórzyć umierającemu prośbę tamtego, który kona:

— Jeden nieszczęśliwy konający prosi o rozgrzeszenie.

Cicho tak, że ledwie można odgadnąć słowo, przyjmujące wzniesłe zadanie na progu śmierci, szepce ksiądz-żołnierz:

— Zanieście mnie...

Czterech sanitariuszy podnosi łóżko i zwolna unikając wstrząśnień, które mogłoby przyspieszyć koniec, zanoszą pocieszyciela do tego, który czeka.

Niesiony ma oczy zamknięte. Siostra nie wie, czy to nie trupa już niosą.

— Tutaj! — rozkazuje zakonnica. — Zbliżyć głowę do głowy... łagodnie, bez wstrząśnień...

Ksiądz ponownie otwiera oczy i spoglądając na towarzysza powiada mocnym głosem:

— Zbliż się moje dziecię... spieszmy się... czas nagli...

Siostra miłosierdzia usuwa się. Zaczyna się spowiedź, szepc, słowa, które wymykają się z wyczerpanych ust. Obaj spieszą się; ponad nimi śmierć, licząca sekundy. Na białych twarzach jakieś promienie, które zdają tryskać z niewidzialnego ogniska. W końcu rozgrzeszenie.

Ksiądz skupia się. Resztką życia, która w nim drga, wypływa z głębin duszy, tłącej się w martwym ciele. W ostatnim wysiłku chce wyprostować się, aby nad nawróconym wzniesić rękę błogosławiącą, symbol zupełnego odpuszczenia win. Ale ręka pozostaje nieruchoma, już ubezwładniona omdleniem, które paraliżuje członki.

Wtedy błagającym spojrzeniem wzywa ksiądz siostrę miłosierdzia:

— Siostrze, proszę mi podnieść rękę.

Na łózkach podnoszą się ranni, aby zobaczyć scenę, jakiej nigdy nie oglądali.

Sanitarjusze ukłękli, przejęci wielkością Bożego dzieła. I wszyscy spoglądają na tych dwóch konających, których dusze żyją i działają w dramacie, rozgrywającym się między ziemią a niebem.

Nabożnie, drżącymi rękami, bierze siostra z uszanowaniem ramię księdza i wyciąga je nad konającym w modlitwie człowiekiem.

— Dominus noster Jesus Christus te absolvat...

Głos zamiera na zboliałych ustach. Ale odruch woli opanowuje fatalne osłabienie i z warg apostoła

wymykają się słowa ledwie dosłyszalne, szeptane ostatnim wysiłkiem:

— ...Ego te absolvo a peccatis tuis in nomine Patris et Filii et Spiritus Sancti..

Cisza. Zakonnica spogląda na obu, poprzecz zasłonę łez; wydają jej się coraz bledsi..

Czeka jeszcze parę sekund potem, czując, że ramię cięży i ciało ziębnie, pojmuje, iż wszystko skończone: dzieło najwyższego poświęcenia — i życie.

Dwa westchnienia, zlane w jedno, zwiastują klęczącej kobiecie koniec dwóch istnień dopełniających się równocześnie. W jednej chwili oddają ducha ksiądz i ten, którego zbawił.

W oddali nieustający huk armat. Można by powiedzieć, że posępne głosy wojny łączą się w majestatyczne podzwonne za umarłych.

Siostra miłosierdzia ociera łzy. Wspaniałe piękno tego zakończenia rozświetla smutek żałoby. Obaj żołnierze odchodzą razem, po wojskowemu, na rozkaz Pana.

Siostra splata ich ręce i łączy palce więzami różańca.

A przez ten tajemniczy kontrast, który tłumaczy nadzieja chrześcijańska, w tej sali, gdzie wszystkie serca drżą do głębi jednym wzruszeniem — płaczą teraz sanitariusze, a zakonnica uśmiecha się.

Schlachetne dziewczę.

Było to w jesieni w 1838. O świcie zerwała się straszna burza na morzu. W pewnej przystani między Anglią a Szkocją, córkę latarnika wcześniej niż zwykle zbudziły ze snu rozpaczliwe krzyki, przedzierające się przez dzikie wycie wychru i straszny huk balwanów. Burza szalała z niewysłowioną siłą. Rodzice dziewczyny nie słyszeli tych krzyków, ale widząc wielkie zaniepokojenie swej córki, spojrzawszy przez teleskop, dostrzegł w znacznej odległości od brzegu dziewięciu ludzi, czepiających się rozbitego okrętu, którego tułów zawisł na skale.

— Ojczy ratujmy tych biedaków — zawołało schlachetne dziewczę.

— Ale cóż my dla nich możemy zrobić wśród tak szalonej burzy?

— Zapytał latarnik.

— Owszem możemy, nieść im pomoc — zawołała córka.

— Ich nie uratujemy, ale sami zginiemy — uważał latarnik.

Ale słowa te nie odwiódły dziewczyny od powyższego postanowienia; prosiła o pozwolenie matki, że łzami błagała ojca o pomoc, aż wreszcie rzekł wzruszony:

— A więc dobrze dziecię moje, pójdziemy na moc rozbitkom, choć nie mam nadziei ocalenia tych biedaków. Do uwiązanej do brzegu łodzi wsiadł ojciec z córką i puścili się na rozhukane morze. Wiatr miotał łodzią jak piórkiem, a biednej dziewczynie zdawało się, że i mózg w jej głowie kołysze się tak samo. Lecz niesiona na skrzydłach wichru, który przed nią wygładzał spiętrzone wały, słyszała tylko krzyki i wołania rozbitków. Z tem większym zapalem chwytła za wiosło, słabe jej ręce nabierały jakby żelaznej siły, a budziła się coraz większa otucha. Wreszcie dotarli do zropanzonych rozbitków, którzy potem przy ich pomocy znaleźli się na brzegu.

— Poczciewe z ciebie dziecię — zawołał jeden z ocalonych, gdy się dowiedział, komu zawdzięczają życie. — Niech ci Bóg błogosławi! My do końca życia zachowamy wdzięczną pamięć o Tobie.

Do nieczulej.

Ty jesteś oka mego źrenicą
Ty jesteś duszą mej duszy —
Czemuś nieczuła, jak głaz, dziewico.
Nic twego serca nie wzruszy?

Słysz... ptaszki śpiewać przestały
Współczucie mi okazały —
Ty jedna tylko śmiesz się
I śmiechem swym zabijasz mię!

Serce oddane i dusza tkliwa,
Wciąż się wrywa tam gdzie ty.
Do ciebie płyną, skarga mej duszy
Miłość bez miary, ból i łzy.

Patrz — drzące liście błyszczą łzą
Wzruszony jest piosenką tą —
Ty jedna tylko śmiesz się
I śmiechem swym zabijasz mię!

Jak to pan Bartłomiej wystraszył się żaru.

Nikt nie chce twierdzić, że pan Bartłomiej był człowiekiem o lekkich obyczajach, żeby upijał się do nieprzytomności, przegrywał w karty całą pensję miesięczną, albo też kłął czy rozbijał się po domu. Bynajmniej. Był on sobie bardzo porządnym człowiekiem. Codziennie rano punktualnie o godzinie siódmej pijał kawę z łytką z lekka osłodzoną i zjadał do tego równo dwa kawałeczki chleba zabierając drugie dwa w papier zawinięte do biura. Potem wolno, statecznie nakładał czarne palto przechodząc już cokolwiek w kolor zielonkawy, gdyż dobrze było wysłużone, choć zawsze jeszcze nie mogło doczekać się emerytury. Potem szedł równym, drobnym kroczkiem do tramwaju, przyczem nadmienić należy, że tym samym tramwajem jeździł już z górą lat dziesięć i nigdy nie zapomniał wykupić na czas karty. Przy wsiadaniu nie przepychał się zbyt, miejsca ustępując damom, szczególnie młodemu i ładnym, mimo to nie spóźnił się nigdy jeszcze do biura. Po powrocie do domu zjadał obiad jaki mu żona przyrządziła, sadowił się potem w fotelu, pykał z fajeczki i czytał gazetą od*kołka do kołka, dopóki nie zdrzemnął się cokolwiek. Pod wieczór miewał wobec małżonki wykłady polityczne, zakończone zazwyczaj takim czy innym zwrotem: Ty nie masz i tak wielkiego o tem pojęcia, no ale nie twoja wina, że cię Bóg stworzył kobietą. Punktualnie o godzinie dziewiętej kładł się pan Bartłomiej do łóżka i w pół godziny spał, chociaż pięć miarowo. Wszystko byłoby dobrze, gdyby pan Bartłomiej nie posiadał pewnych wad, na które żona, osoba równie stateczna jak on zwracała uwagę w sposób nader nieogledny i jaskrawy. Morały te powtarzały się regularnie co niedzielę rand. A powód był nasępujący. Otóż, o ile dni powszednie zapelnione robotą nie przedstawiały dla pana Bartłomieja zbyt nich pokus, o tyle dni przedświąteczne wprost naszpilkowane były okazjami do złego. Regularnie co sobotę pan Bartłomiej wykradał się popołudniu do pobliskiej restauracji i wracał punktualnie o godzinie trzy kwadransie na dziewiątą w nadzwyczaj ożywionym humorze. Wówczas to kapeluszu przesuwając się jakoś trochę za bardzo na tył głowy, krawatka zaś uciekła spłoszona na lewe ramię. Pan Bartłomiej machał swnowoinie laseczką i nucił z cicha fałszując na tercjach:

„Nie teraz, nie teraz na grzybki chodzą, na grzybki chodzą, na grzybki chodzą“...

„Jesienią, jesienią kiedy się rodzą, dzą, dzą, dzą, dzą, dzą!“

Zona pomagała mu położyć do łóżka za co w zamian pan Bartłomiej prawił jej najwyszukiawsze komplementy, lecz nazajutrz rano? Mój Boże, wów czas to, przed pójściem na sumę pani Adela zaczynała swoją orację, doskonale wystylizowaną.

— Czy ty się Boga nie boisz Bartłomiej? gdzie byłeś wczoraj?

— Byłem, to byłem — bakał mąż jak niepe-szny. Zona dalej swoje.

— Wiem gdzie byłeś u W... w tej jaskini roz-pusty i gniewu bożego, gdzie szatany ukryte w kle-liszkach wabią ludzi do grzechu i zraty ostatecznej, ażeby się stało wieczyste potępienie i zgrzytanie zę-bów. Ładnie ty szanujesz swoją godność małżonka i ojca dzieci dorosłych, i taką pensję urzędnika państ-wowego i to zdrowie od Pana Boga przez rodziców twoich znacznych tobie ofiarowane. Powiadam ci Bart-łomiej odmień niskie swoje postęпки, skrusz się w twojej nędznej duszy, bo jeszcze kiedy djabeła same-go zobaczysz, że będzie cię porywał do piekieł ognistych.

W tem miejscu następowała krótka, retoryczna pauza i pani Adela w poczuciu spełnionego obowiązku dodawała już tonem spokojniejszym.

— A teraz idziemy do kościoła.

Pan Bartłomiej żałujący szczerze swoich bezczel-nych uczynków, kiwał żałośnie głową, podawał ramię małżonce i prowadził ją na sumę. Chrzakał raz i drugi a potem zaczynał mniejwięcej na ten temat:

— Myślę, że dziś będziemy mieli wyśmienity obiad, bo ty świetnie gotujesz.

Potem już pogodzeni szli sobie razem ze sta-teczną powagą.

I życie byłoby potoczyło się nadal tą samą ko-leją, gdyby tego roku pod koniec karnawału nie był się zdarzył następujący wypadek.

Pan Bartłomiej w ostatnią sobotę spotkał u W... starego znajomego, kolegę jeszcze z czasów szkolnych i pokropiwszy należycie tą odnowioną znajomość, wrócił do domu o pięć minut później, niż zwykle. Do tego jeszcze głowa chwiała mu się mocno, być może od wzruszenia, a piosenka o grzybkach wydo-bywała się z gardła cchryplym falsetem. Pani Adela spojrzała nań gniewnie. Miała powody do tego. Bo otóż zawezwano ją późnym wieczorem do zachorzałej nagle siostrzenicy, u której zapewne przyjdzie jej noc przepędzić, a tu mąż wraca aż w takim stanie.

— Trudno — pomyślała sobie — zamknę starego na klucz, niech spi, a sama pójdę, nikt przecież dla tego pijaka nie będzie odmawiał familji chrześcijań-skiej przysługi.

Na w pół rozebranego pana Bartłomeja wepchnę-ła do łóżka, ubrała się i wyruszyła z czekającym już za nią mężem siostrzenicy.

Pan Bartłomiej przespał snem kamiennym kilka godzin nocnych, gdy nagle na w pół się budząc, po-słyszał szmer niezwykły. Wyciągnął rękę w stronę łóżka żony, lecz namacał tylko gładko zasianą pościel. To go otrzeźwiło. — Jako — pomyślał — już rano? już wstała? — i zerwał się siadając prosto. Dokoła jednakże ciemno było ze ni oka wykol. Słuchał chwilkę i już miał zasnąć na nowo powierzając roz-wiązanie tej kwestji jutrzejszemu dniowi, bowiem spać mu się chciało okropnie, gdy nagle podszyszał znów jakiś niesamowity szelest od strony okna. Słu-chał. I znów to samo, ale tym razem zorjentował się dokładnie, że to nie od okna tylko od pieca. Co jest — pomyślał z trwogą. W słabem świetle pada-

jącem od szyby dostrzegł pod piecem zarys głowy ludzkiej. O Jezu — jęknął z cicha, a potem zbierając się na całą odwagę ryknął, że aż szyby się zastrzęsły: — Kto jest do kroć set — bo strzelę z pistoletu! —

Cisza, tylko po chwili znów ten szmer, ten dzi-wny szmer. Pań Bartłomiej pomyślał, że gdyby to byli bandyci, już dawno jeden czy czterech rzuciliby się na niego i zadusili, gdyż rewolweru jako żywo nie posiadał, bał się bowiem niezmiernie wszelkiej broni palnej. I nagle serce zamarło mu w piersi. Zrozu-miał. Tak, to mógł być tylko ów djabeł, o którym tyle razy mówiła żona. Przypomniał sobie wieczór sobotni. Upił się, upił ale okropnie, i zapewne Adele przeczuwszy nieszczęsną dolę pana Bartłomeja opu-szczała go już za wczasu. — Jak mogła — pomyślał żałośnie — toż jej niewinna dusza możeby mnie uchroniła od zraty ostatecznej. — Ale nie było już rady. Pan Bartłomiej z bijącym sercem czekał na szatana. Była chwila, że chciał wyskoczyć z łóżka i wyrwać choćby w koszuli na ulicę, jednakże nie był w stanie wykonać żadnego ruchu. Tymczasem minu-ty za minutami upływały, na wieży kościelnej odez-wał się zegar. To pewno teraz — jęknął pan Bartło-miej — ale djabeł nie chwytął go za gardło. Kiedy jednakże uspokojony cokolwiek sądził, że może mu się zwidziało od strony pieca odezwał się znowa ja-kis nieokreślony, ni to kłapnięcie ogonem czartowskim ni to cichutkie pukanie kopytem. Pan Bartłomej cały w potach leżał nieruchomo. — Och czemuż nie słu-chał dobrej cnotliwej małżonki, czemu dał uwieść się nieszczęsnemu pijaństwu. — Pan Bartłomiej złoży-wszy ręce ślubował sobie, że jeśli tej nocy jeszcze djabeł go nie porwie... nigdy, ale to nigdy nie będzie już spędzał soboty w restauracji. — Obejdę trzy ulice w koło, a nie zajrzę do W. — powtarzał struchlały. Wreszcie, powoli uczynił się świt, meble zaczęły wy-taniać się z tumanu nocnego, okno zajaśniało różowoi

Wówczas to zdziwionym oczom pana Bartłome-ja, zamiast głowy djabelskiej z wystającymi rogami ukazał się stojący na stołku pod piecem wielki garnek kuchenny. Szmer zaś, który i teraz nie ustawał wy-dawała ciecz popielata wyciekająca wolno poprzez obręcz garnka. Pan Bartłomiej wolno powstał i ubie-rał się pełen smutku raz po raz zerkając w stronę pieca. W tej chwili zazgrzytał też klucz w zamku i zjawiła się pani Adela.

— Wiesz? — wpadła radośnie na męża — Klemensia ma córeczkę, śliczne, grube maleństwo, właśnie zdążyłam na czas, ale jak się cieszę!

Pan Bartłomiej patrzył na nią wzrokiem osowia-łym, i wreszcie wskazując na garnek zapytał cicho:

— Co to jest?

Pani Adela załamała ręce, ale roześmiała się przytem.

— Ach mój żur postawiłam go pod piecem, żeby przekisnął prędzej w ciepłe, a ten mi tu wyla-tuje z garnka. Patrzcie tylko ludzie? Aj i jeszcze się rozchłapało po podłodze.

Zdjęła prędko okrycie, uprzątnęła plamy i za-krzętała się dokoła śniadania. O wczorajszej libacji pana Bartłomeja nie było jakoś mowy. Pani Adela opowiadająca wciąż o córeczce Klemensi, o jej mężu, o różnych drobnych wypadkach ubiegłej nocy zapo-mniła, że przecież należała się mężowi reprimenda za sobotnią pijatykę. Wszystko przypominało jej się dopiero wówczas, gdy w tydzień potem, mąż zamiast pójść jak zwsze do W... zaproponował nieśmiało:

— Możebyśmy poszli razem zobaczyć to dziecko Klemensi? Mamy trochę grosza, kupimy po drodze doniczkę z kwiatem.

Pani Adela aż klasnęła w ręce z radości nie wiedziała jednakże nic jeszcze o głębokim przełomie duchowym, jaki się w panu Bartłomieju dokonał pod wpływem jej żuru. Gdy jednakże i w następną znów sobotę mąż zaproponował wspólny spacer do Klemensi coś ją tchnęło. Nie wiedziała jak zacząć, lecz niewieścia ciekawość paliła ją niezmiernie.

— To ten W... zbańczył, już nie trzyma restauracji..., wypaliła niespodzianie.

Pan Bartłomiej spojrział na nią z góry.

— Nie, W... nie zbańczył podobno, ale ja nie mam już ochoty tam chodzić, nie służy mi rozumiesz? A bardzo lubię to dziecko Klemensi.

Pani Adela nieufnie pokręciła głową, ale nie odrzekła już nic. A mimo licznych dyplomatycznych zabiegów nie dowiedziała się nigdy, jakiego to strachu napędził panu Bartłomiejowi garnek z żurem.

Od tego czasu co sobotę chodził! razem do Klemensi, zanosząc Zosi w pierw gruchawki, potem karmelki, lalki, w miarę jak dorastała.

Pozatem jednym faktem nie zmieniło się zresztą nic w życiu pana Bartłomieja.

W Ameryce żeńska pracownica wypiera mężczyzn.

Amerykańskie pisma podają interesującą statystykę, z której dowiadujemy się, że kobiety w ostatnich dziesięciu latach, stale zajmują stanowiska we wszystkich działach służby publicznej, tak federalnej jak i lokalnej.

Obecnie Nowy Jork posiada oddział policyjny pod dowództwem pani E. Hamilton liczący 100 kobiet. Wiele z nich pełni regularnie służbę posterunkową na ulicach miasta.

Na początku roku 1925 niema prawie jednego miasta większego, aby w policji nie było „płci słabej”. W departamentach zdrowia, kobiety zdobyły nie tylko podrzędne, ale wybitne stanowiska. W trzydziestu sześciu stanach kobiety zajmują w departamentach zdrowia wysokie stanowiska, bądź stojąc na czele laboratorjów badawczych, bądź też kierując administracją.

Na poczcie federalnej pracuje w danej chwili 26,000 kobiet. — Spora z nich liczba zajmuje stanowiska naczelne pocztmistrzów.

Od paru lat kobiety są urzędnikami w departamentach spraw wewnętrznych, sprawiedliwości, rolnictwa i innych na odpowiedzialnych i wysokich stanowiskach. Faktycznie niewiele jest wydziałów federalnych wolnych dotychczas od kobiet. Ogólnie biorąc, 10 procent armji urzędników federalnych, należy do płci żeńskiej. Ten sam procent, nawet może nieco wyższy, okazuje się w władzach lokalnych. — W urzędach stanowych i miastowych, kobiety czynią bodaj szybsze postępy, niż w urzędach Stanów Zjednoczonych.

Jako przyczynek do tych dat oficjalnych opisuje gazeta „Telegram” niezwykle miasteczko Sackawaxen, w którym znajdują się tylko 4 sklepy i 3 są własnością kobiet, a jedynym subjektem w czwartym jest panna Margareta Smith. Jedyny hotelik w tym miasteczku jest prowadzony przez kobietę. Pocztmistrzem jest tam kobieta, tak samo urzędnikami funkcjonariuszami pocztowymi są tylko kobiety. Pani Jane Cambell jest jedynym dekoratorem i tapicerem tamtejszych łomów; panna Helena Haupt jest właścicielką przedsiębiorstwa dorożkarskiego i pogrzebowego mleczarnia zaopatrująca mieszkańców w mleko, należy również do kobiety. Nieomal wszyscy mężczyźni w

Sackawaxen są zajęci przy obróbce drzewa i na torach kolejowych i niema ich we dnie w mieście. Słowem „raj” niewieści.

ROZMAITOŚĆ

Kobiety wartości. pół grosza. Londyński trybunał rozwodowi wydał niedawno godny uwagi wyrok. Mianowicie dwaj mężowie, zdradzeni przez swoje żony, które opuściły ich dom, udając się do kochanków i zażądały rozwodu, zapragnęły aby uwodziciele zapłacili im odpowiednio wysokie odszkodowania pieniężne za zabranie ich żon. Niewiele jednak zyskali, ponieważ sędzia orzekł, że odszkodowanie takie może wynosić co najwyżej pół grosza. Kobieta która męża zdradza i opuszcza go — motywował sędzia swój wyrok — nie może mieć dla niego absolutnie wyższej wartości, a jeżeli się jej pozbędzie to może to nazwać korzyścią, a nie szkodą.

Niebezpieczny wiek mężczyzny. Nie kobieta, lecz właśnie mężczyzna wstępuje z 40 rokiem życia w wiek niebezpieczny. Tak przynajmniej twierdzi lekarz wiedeński dr. Schulhof. Mówi on: Mężczyzna kończący 40 rok życia, nie czuje się z reguły jeszcze starym ale na jego głowie czas jednak wypisał już jego lata. Włosy mu się znacznie przerzedziły, siła wzroku uległa znacznemu osłabieniu, odczuwa bóle głowy i zaburzenia nerwowe. Są to wszystko skutki lat 40.

Z 40 rokiem życia pojawiają się pierwsze oznaki starzenia się. Mężczyzna 40 letni nie wbiega już szybko na schody, a serce jego również zaczyna się nieco buntować. Jest to wynikiem pierwszych przemian, jakie następują w naczyniach krwionośnych. Po czterdziestce mężczyzna spostrzega, że żołądek jego już pewnych rzeczy strawić nie może, że nie znosi już przeładowania płynami, a szczególnie alkoholem.

Mężczyzna, palący tytoń, po przekroczeniu 40 roku życia spostrzega starzenie się swoje już choćby tem, że nie może tak dużo palić papierosów jak przedtem. Nie da się zaprzeczyć, że w 40 roku życia występują pierwsze objawy zwapienia naczyń krwionośnych a nikotyna jest właśnie trucizną dla tych naczyń. Palacz jednak nie chce tego uznać nawet wówczas, gdy jest lekarzem. Jak bowiem odzwycząć się od palenia? Stopniowe odzwyczajanie się doprowadzi do celu, trzeba od razu całkowicie z tym nałogiem zerwać.

W 40 roku życia mężczyzna zaczyna tak że objawiać skłonność do hipochondrii. Wiele chorób powstaje jednak tylko w wyobraźni mężczyzny. Wmawia on w siebie choroby, co oddziaływuje na jego stan psychiczny. 40 letni mężczyźni mają zwyczaj badać codziennie swój puls, obserwować uderzenia serca, a kiedy jednak naprawdę przeważnie chorują, to zazwyczaj zbyt późno zasięgają pomocy lekarskiej. Tak jest, 40 rok życia jest dla mężczyzny wiekiem niebezpiecznym. Pod tym względem mężczyzna jest upośledzony w stosunku do kobiety.

Niebezpieczeństwo wdzięków w kobiecych Związek ochrony przeciwko wypadkom ulicznym w Japonji stwierdził — jak donoszą z Tokio — po długich badaniach, że znaczna część wypadków samochodowych zdarza się wówczas, gdy samochodami jadą ładne kobiety.

Wynika to stąd, wyjaśnia komisja rzeczoznawców związku, że szoferzy w takich razach poświęcają za dużo uwagi niebezpieczeństwu, znajdującemu się za nimi a za mało — niebezpieczeństwu przed nimi.